

Władysław Łoziński

SKARB WATAŻKI



Armoryka

Władysław Łoziński

SKARB WATAŻKI

Powieść z końca XVIII wieku

Władysław Łoziński

SKARB WATAŻKI

Powieść z końca XVIII wieku

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce:

Juliusz Kossak (1824-1899) – *Obóz hajdamaków*, (licencja *public domain*),
źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/Image:Camp_of_haidamakas.PNG

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-99-0

I

HAJDAMACY WE LWOWIE

W ostatnim dziesiątku lat swego istnienia Rzeczpospolita polska przedstawiała widok starego gmachu, którego potężne niegdyś posady poczęły drzeć w całej swej głębi, którego mury, od wieków nie naprawiane dłonią opatrzności gospodarza, rysować się i pękać poczęły pod szalonym naciskiem ustawicznej burzy...

Chwiały się groźnie pod stopami całego narodu podwaliny, osadzone niegdyś silnie mieczem i rozumem lepszych przodków, ze straszliwym łoskotem pękały stare sklepienia, ale ledwie najmniejsza cząstka słyszała tę wieszczbę upadku, tę przerażającą zapowiedź ruiny.

Nieskończona większość nie słyszała i nie widziała zwiastunów katastrofy...

Szalona burza namiętności prywatnych i publicznych ogłuszyła wszystkich, bezprzykładna lekkomyślność i swawola zasłoniła spojrzenie w przyszłość...

Czas to był rozpaczliwego zamętu, czas bezprzykładnego niemal obłędu, którego dzisiejszy badacz ani ogarnąć, ani zrozumieć nie zdoła. Społeczeństwo całe zdawało się padać ofiarą rozkładu. Wszystkie podstawy bytu usuwały się spod stóp jego, wszelkie warunki porządku i ładu znikwały z publicznego życia.

Swawola rozpasala wszystkie warstwy ludności i całemu obliczu społecznemu owych czasów wycisnęła piętno konwulsyj czy obłąkania... Zdrowe żywioły, w których tkwił zaród życia, zanedbano były osłabione, aby pokonać chorobę całego organizmu. Władzy nie było niemal żadnej, cnoty obywatelskiej zbyt mało, by ją zastąpić mogła.

Wojny dopełniły oplakanego zamętu, a jakby na ostateczny domiar grozy i nieszczęścia najokropniejszy, najpotworniejszy bunt rozpasanej czerni rzucił na tę scenę odbłask niewinnej krwi i lunę pożogi...

Takich to czasów ustępem był rok 1768, w którym rozpoczyna się opowieść nasza.

W roku tym Lwów, jakkolwiek nie był powołany do odgrywania większej i ważniejszej roli, miał na całej fizjonomii swojej wszystkie znamiona oplakaney pory.

Miasto było niemal do szczytu zniszczone; handel, który tu niegdyś miał swe wielkie ognisko wschodnie, upadł zupełnie, patrycjat, niegdyś tyle świetny i bogaty, który słał wspaniałe dary monarchom, a złotem i mieczem zarówno dobił się sławy w Rzeczypospolitej, zmienił się w gromadkę ubogiego mieszczaństwa, upadłego na duchu, niepewnego jutra, które przynieść mu mogło nową klęskę, nową ciężką załogę, nową kontrybucję.

Dla Lwowa rok ten był cięższym może niż owe lata, kiedy o mury jego bił nawał Szwedów, pogan lub kozactwa. Wówczas miało się złoto i żelazo do odporu, a jednego tylko wroga u murów, obecnie zaś zewsząd zagrażano ogołoconemu ze środków miastu.

Była mu wrogiem własna załoga polska, nieliczna wprawdzie, lecz ciężka, bo nie opłacana ze skarbu państwa, stała niemal wyłącznie na koszcie miasta; był mu wrogiem pan łowczy koronny Branicki, co tuż u jego boku organizował i ścigał siły przeciw konfederatom; była mu wrogiem sama konfederacja barska, co zagrażała mu ustawicznie, a raz nawet pokusiła się o jego zdobycie...

Miasto było uciśnione, przytłumione, jakaś duszna i ciężka zawiąsała nad nim atmosfera. Magnackich rodzin polskich mieszkających w nim wprawdzie więcej niż kiedykolwiek, bo zewsząd garnęła się szlachta z rodzinami w mury warownego grodu — ale mimo to życie było posępne, smutne, jakby pełne złowrogięgo przecucia.

Sypiano wały, co się już do połowy osunęły od starości i zaniedbania, naprawiano ile możności popękane mury fortyfikacyjne, zbrojono z pośpiechem klasztor karmelicki, który stanowił poniekąd czoło ówczesnej warowni lwowskiej.

Zdawało się, że te na pół porozwalane baszty, te szczerbate, ku upadkowi chylące się bramy i furty, te mury spróchniałe i popękane, co niegdyś tak dumny stawiały opór nieprzyjaciółom i urągały z zawziętych oblężeń, dziś przed ostatecznym swym upadkiem,

przed zupełnym rozsypaniem się w gruzy raz jeszcze zadrzeć mają od huku obłętnych strzałów, raz jeszcze rozpaczliwy dać mają odpór wrogiemu najazdowi...

Przed kim się zbrojono?... Nie było to tajemnicą. Lwów miał tym razem stanąć zaporą nie obcym, ale swoim. Obawiano się niespodziewanego napadu konfederatów, którzy od ziemi sanockiej i od Podola podążać mieli pod starą forteczkę, by śmiałym zamachem wyrzucić ją z rąk królewskiego wojska.

Ludność, jak zawsze groźnym i przesadnym pogłoskom przystępna, straszyla się sama jeszcze gorszymi wróżbami.

Szeptano sobie między gminem, że nie tylko okropność domowej wojny oprzeć się ma o miasto. Biegały wieści, że w Chocimiu gromadzi się wojsko tureckie, że basza tameczny czeka na czele janczarów, aby wpaść w ziemie polskie, że już wypadł fałą pożogi, że Kamieniec Podolski zdobyty, że janczarskie straże aż pod Brody już się podsunęły...

Do tych wieści mylnych i na trwogę rozsiewanych przybyła niebawem inna... Była ona prawdziwą, ale jak każda niemal wieść owego czasu, przyleciała na skrzydłach strachu i przerażenia, urosła w większą jeszcze okropność niżli nią była w istocie...

Rzeź humańska rzuciła krwawą łunę na całą jedną prowincję Polski... Słyszano o mordach okropnych, o strasliwym barbarzyństwie hajdamackiej dziczy, widziano rodziny, uciekające na Brody ku Lwowowi...

Każdy taki wygnaniec miał na ustach trwogę śmiertelną i wieść jakąś bajeczną. Mówiono, że bunt hajdamacki coraz bardziej się szerzy, że coraz dalej rozlewa się krwią i zniszczeniem, że łuna popalonych dworów coraz większe zatacza koło, że dziś, jutro, pojutrze... zaświeci nad wzgórzami Lwowa...

Tymczasem w samym garnizonie lwowskim rozpoczął się ruch gorączkowy, który w oczach gminu nadawał prawdopodobieństwa pogłoskom i podniecał powszechną trwogę.

Szybkimi marszami podążył pan łowczy Branicki ze swoim korpusem na Podole, w ślad za nim generał Kreczetników opuścił Żółkiew. Pan pułkownik Korytowski, komendant Lwowa, ścigał gorączkowo co tylko się gdzie znalazło regularnego polskiego żołnierza. Codziennie niemal kurierzy wojskowe pędziły ze Lwowa do Kamieńca, z Kamieńca do Lwowa... Z Brodów przywożono proch całymi kamieniami, dragonia i działa to wychodziły, to wracały...

Taki ruch w garnizonie i taka skrzętność w przygotowaniach wojennych podsycaly coraz bardziej zatrwozoną imaginację ludności — i były chwile, w których gmin miejski ze zgrozą opowiadał sobie wieści o zbliżającym się buncie chłopskim.

Niektórzy opowiadali, że widzieli we wioskach sąsiednich jakieś zagadkowe postacie, przybyłe nie wiadomo skąd, znikające nie wiadomo gdzie, które hasło buntu i rzezi niosąc mieszkańcom siół, głosiły bliskie przyjście czerni i powszechny mord szlachty i Żydów...

Ten i ów, biorąc ciemną pogłoskę za fakt, wróżbę rzuconą w trwodze za jutrzejszą rzeczywistość, rozповідаł z największym przerażeniem, że hajdamacy idą na Lwów, że wyrznęli kawalerię narodową pod panem obożnym Stempkowskim, a samego pana obożnego powiesili na rynku w Brodach...

Wróżono i wróżono, aż wywróżono nareszcie...

Hajdamacy przyszedli do Lwowa...

Przyszli istotnie, ale wcale w innej postaci niż się tego obawiano. Przyszli nie z dzikim okrzykiem szpetnego zwycięstwa, nie wśród bicia dzwonów i ze światłem pożarowej luno, ale z kajdanami na zbrodniczych rękach, jako jeńcy bez nadziei łaski i przebaczenia, z całym brzemieniem klątwy i srogiego odwetu na pochylonych barbach...

W sierpniu wspomnianego już roku przybywać poczęli ci wstrętni goście do Lwowa.

Wybiegała ludność naprzeciw, aby przypatrzeć się dzikim postaciom złoczyńców, z których każdy zbryzgany był krwią ofiar bezbronnych, starców, kobiet i dzieci. Patrzono na nich jak na dzikie, okrutne zwierzęta leśne, pojmane żywcem dłonią odważnego myśliwca.

Pędzono ich też jak dzikie zwierzęta, obchodzono się z nimi gorzej niż ze zwierzętami.

Pod strażą dragonii koronnej lub grodowych kozaków szli ci niebezpieczni gromadkami po kilkudziesięciu. Przykuci do drągów długich, ze skrępowanymi ramionami, bosi, obdarci, wynędzniali, wkraczali do Lwowa.

Były to odrażające postacie, z twarzami dzikimi, którym zarost dodawał jeszcze więcej wstrętnego wyrazu. Okryte były szmatami odzieży chłopskiej, na niektórych tylko widać było resztki kozackiego stroju.

Każdy z tych ludzi miał na czole straszliwe piętno Kaina, nad każdym wisiała kłtwa krwi rozlanej z najdzikszym okrucieństwem; zdawało się, że na łachmanach, co ich ciała osłaniały, odkryłbyś jeszcze krew niezastygłą... A przecież nieszczęśne te ofiary ciemnego szalu budziły litość w sercu...

Człowieczeństwo, spodłone i upokorzone w tych ludziach, apelowało przeciw do duszy i miłosierdzia. Ale nie znano dla nich miłosierdzia, jak oni sami nie znali go, nie spodziewali się i, zda się, nie chcieli. Szli z dziwnie obojętną twarzą, z ponurą, przerażającą rezygnacją, z oczyma, które nie zdradzały tajemnic ciemnej duszy.

Dragoni pędzili ich przez miasto pod cekhausz królewski lub miejski, do lochów na Niskim Zamku; oddział lwowskiego garnizonu odliczył ich, pokwitował i po rozmaitych kryjówkach, ciemniach i kaźniach poumieszczał.

Kilka takich transportów hajdamackich przybyło do Lwowa. Więzienia były przepełnione, szczupły garnizon rozerwany był na straży przy nich, a nie wiadano, co z nimi począć. Komendant lwowski, Korytowski, protestował przeciw tym wstrętnym gościom, pisał do króla, do Branickiego, do Stempkowskiego, do innych, zaklinając, by mu nie nasylali hajdamackich więźniów, których ani umieścić, ani wyżywić, ani ustrzec nie może.

Byli tacy, którzy radzili załatwić się szybko z więźniami — śmiercią ich bez wyjątku karząc. Mimo jednak całego oburzenia, mimo słusznej zgrozy, jaką wywoływały zbrodnie tych potępieńców, jeżeli nie samo uznanie ludzkości, to wstręt, to obrzydzenie, wzbudzone przez poprzednie tysiączne egzekucje, sprzeciwiały się użyciu tego środka.

Czerni hajdamackiej taka była ilość, że wszystkich śmiercią karać było niepodobna. Pozbawiono życia tysiące, pozostały tysiące. Prawu słusznej zemsty, wymaganiom krwawej sprawiedliwości stało się zadość. Krew, przelana w Humańszczyźnie, odplaconą została strumieniami krwi hajdamckiej.

Zabrakło ludzi do spełniania wyroków śmierci... Pochwytni hajdamacy musieli sami sobie być katami. Jeden drugiego musiał pozbawiać życia, ostatniego zabijał żołnierz... Od Sawrania aż do Kamieńca Podolskiego poobwieszane były drzewa trupami opryszków, a około każdego niemal miasteczka na tej drodze sterczały lasy powbijanych na pale kampańczyków.

Moszczeński opowiada w pamiętniku swoim, że stracono około 30 000 chłopstwa zbuntowanego. Liczba to niezawodnie przesadzona, niemniej przeto straconych liczyć można na tysiące. Sam łowczy Branicki donosi królowi, że siedmuset hajdamaków jednym wałem powiesił, nie wliczając w to przywódców, których inną, najokropniejszą karą śmiertelką.

Jenerał Kreczetrników zdaje raport władzom rosyjskim, że przeszło dwa tysiące opryszków sam oddał komendantom polskim i że większą część z nich powieszono. Co pan oboźny Stempkowski na własną rękę wywieszał, nie wiadomo...

Postanowiono tedy po tak strasliwym odwecie porozsyłać resztę jeńców hajdamackich do twierdz rozmaitych, jak do Kamieńca, do Brodów, do Lwowa. Zachodził w głowę pan komendant Korytowski, otrzymawszy znaczną liczbę takich nieproszonych i niemiłych gości. Więzienne utrzymanie tylu jeńców, najgorsze choćby żywienie ich wymagało znacznych kosztów — a środków na to nie było żadnych.

Jak utrzymać, jak żywić hajdamackich więźniów, skoro nie było czym żywić i opłacać samego garnizonu? Garstka wojska Rzeczypospolitej autoramentu cudzoziemskiego od dawna nie dostawała żołdu ze skarbu. Gdyby nie miasto, które kilkadziesiąt tysięcy złotych zaliczyło na utrzymanie garnizonu, żołnierze musieliby się byli chyba zmienić w garstkę opryszków, żywiących się gwałtem i łupieżą.

Nakazano hajdamaków używać do naprawy twierdzy, do sypiania wałów i innych robót publicznych. Zlitował się król Stanisław August i, tknięty niedolą tych ludzi, przysłał z własnej prywatnej szkatuły 200 dukatów Korytowskiemu na utrzymanie więźniów.

Równocześnie ogłoszono we właściwych województwach, aby szlachta reklamowała tych pochwytych hajdamaków, którzy przed buntem byli jej poddanymi, i zabierała ich sobie z Kamieńca i ze Lwowa. Sprzeciwiał się temu pan łowczy koronny Branicki, utrzymując, że złoczyńcy ci, pojmani z bronią w rękę, nie należą już do swych dawnych panów, ale traceni lub więzieni być winni, lecz przeciw dalszemu traceniu przemawiało wszelkie uczucie ludzkości, a więzienie tylu ludzi zbyt było kosztowne, aby wykonać się dało.

Pan komendant Korytowski pojął najlepiej szlachetną intencję króla. Mając już jaki taki fundusz na utrzymanie jeńców, jednej części ich użył do robót fortecznych, drugą na własną rękę zatrudnił.

Mając tyle rąk do rozporządzenia, począł budować sobie kamienicę we Lwowie.

Stanęła trudem hajdamaków okazała, jak naówczas, budowa we Lwowie, która długi czas uchodziła za gmach pierwszorzędny, a posiadając duże sale, była głównym miejscem balów, uczt i rozmaitych festynów.

Kamienica ta, zbudowana przez jeńców hajdamackich, stoi dotąd w pierwotnym nienaruszonym kształcie. Jest nią tak zwana kamienica Andreolego, z przechodowym dziedzińcem między rynkiem a ulicą Teatralną.

II

HANDLARZ DUSZ

Podaliśmy w poprzednim rozdziale kilka szczegółów o jeńcach hajdamackich we Lwowie, bo potrzebne były jako wstęp do dalszego opowiadania. Wiemy już, jakim sposobem udało się umieścić i wyżywić tych nieszczęsnych ludzi, których w drodze do Lwowa ścigał widok straconych współtowarzyszy zbrodni, nad którymi wisiała klątwa strasznych czynów, których gnała nienawiść i obrzydzenie powszechne.

Jeńcy ci, spod wszelkiego prawa wyjęci, gnani o głodzie i bez miłosierdzia jak bydła najpodlejsze, nie cieszyli się zapewne z łaski, która uchroniła ich od śmierci na palu lub na szubienicy. Nim się ich los we Lwowie rozstrzygnął w sposób poprzednio opisany — stan ich był zaiste okropny.

Umieszczono ich, jak już powiedzieliśmy, po rozmaitych lochach lub próżnych komorach obu arsenałów lwowskich — a na ciasnej, kilkuszniowej przestrzeni nieraz po kilkadziesiąt tych nieszczęsnych ofiar zbrodni mieścić się musiało. Oddano ich pod straż garnizonu, a główny nadzór nad wszystkimi powierzono jednemu z oficerów załogi.

Oficerem tym był młody człowiek, niedawno dopiero w służbie Rzeczypospolitej zostający. Poznamy z nim bliżej naszego czytelnika, oficer ten bowiem odgrywać ma w tej opowieści naszej jedną z ról najgłówniejszych.

Miał nazwisko na pozór cudzoziemskie, ale przez wszystkich starych heraldyków polskich znane i do rodzinnych nazwisk szlacheckich zaliczone. Nazywał się Robert Fogelwander. Rodzina Fogelwandrów w dawnych wiekach przeniosła się do Polski z Niemiec,

gdzie zajmowała niegdyś znakomite stanowisko. Nad tarczą herbową Fogelwandrów osadzona była korona o dziewięciu perłach i należał im się tytuł Rzymskiego Imperium.

Nasz Fogelwander był ostatnim swego rodu w Polsce. Był to młody, nadzwyczaj urodziwy mężczyzna. Twarz jego miała w sobie coś niepolskiego, chociaż nie było w nim już ani kropli krwi niemieckiej. Nie wyglądał też na Niemca, ale na Włocha raczej. O bladej cerze, dużych, czarnych i ognistych oczach, osadzonych głęboko, pełnych jakiegoś, powiedziałbym, tajemniczego wyrazu, o rysach twarzy regularnych, wybitnych, może za ostrych nieco i zdradzających namiętność — młody oficer uderzał pewną niepospolitą cechą całej swej fizjonomii i postaci i należał do tych osób, które dość raz widzieć tylko, aby je na zawsze niemal zachować w pamięci.

Fogelwander od roku dopiero znajdował się w garnizonie lwowskim. Mimo młodości swojej liczne przechodził koleje. W dziecięcym już wieku osierocony, wychował się łaską jednego z dalekich krewnych swej matki. Krewny ten był bardzo majątnym i wychował młodego Fogelwandra jak syna. Należał on niegdyś do najgorętszych zwolenników Stanisława Leszczyńskiego, a kiedy król ten, bez korony i tronu, osiadł w Lunevillu, dobrodziej młodego oficera przeniósł się tam także, aby stale zamieszkać w pobliżu tego, którego do zgonu uważał za swego monarchę.

Młody Fogelwander, wychowany w dostatkach, oddawał się pewnej nadziei, że bogaty krewny uczyni go spadkobiercą. Zamiłowany w stanie wojskowym, wstąpił do francuskiego pułku Royal Suedois, w którym podówczas bardzo wielu służyło Polaków. Bogaty krewny kupił mu kompanię, a młody nasz kapitan, pełen różnych widoków na przyszłość, pędził najprzyjemniejsze życie w Paryżu...

Nagle umarł bogaty krewny. Nadzieje nie zawiodły Fogelwandra: opiekun jego zapisał mu cały swój majątek w ruchomościach i w dobrach, położonych w Polsce. Fogelwander porzucił swoją kapitanie i wyjechał do Polski, aby objąć w posiadanie odziedziczony majątek. Ale tu spotkał go zawód okrutny...

Znaleźli się w Polsce bliscy krewni zmarłego, którzy wnieśli protest przeciw testamentowi, a na mocy prowizorycznego wyroku zajęli dobra w posiadanie. Fogelwander zamiast bogatych włości zna-

laż w ojczyźnie powikłany i trudny proces z przemożnymi przeciwnikami.

Począł się pieniać z zawziętością młodego, namiętnego człowieka, który się czuje pokrzywdzonym. Otoczył się całym legionem palestrantów i sypał między nich hojnie złoto. Przeciwnicy jego nie żalowali także złota, ale umieli go użyć zręcznie i trafniej od niedoświadczonego młodzieńca, który był niemal cudzoziemcem we własnej ojczyźnie i nie przeczuwał nawet, jak wątpliwym, jak niepewnym i jak niezmiernie długim bywał każdy spór w owych czasach przed trybunałami polskimi.

Skończyło się na tym, że Fogelwander na wystawę życia, a bar dziej jeszcze na koszt palestry stracił wszystko, co jeszcze w gotówce odebrał w Lunevillu po zmarłym swym dobroczyńcy. Proces ugrzązł; palestranci, widząc ruinę klienta, opuścili go zupełnie, a dobra sporne pozostały w wygodnym posiadaniu przeciwników.

W tak przykrym położeniu nie pozostawało młodemu człowiekowi nic, jak tylko pomyśleć o dalszym sposobie życia. Zebrawszy szczupłe resztki, jakie mu jeszcze pozostały, postanowił wstąpić do regularnego wojska Rzeczypospolitej. Jak wszędzie podówczas, tak i w Polsce stopnie oficerskie kupowano, z tą tylko różnicą, że mimo tak nielicznego wojska frymark złotych bandoletów w Polsce kwitł bardziej niż kiedykolwiek.

Fogelwander kupił sobie chorągiew w jedynym niemal porządniejszym pułku ówczesnym polskim, w królewskiej dragonii cudzoziemskiego autoramentu, czyli w tak zwanej konnej gwardii koronnej. Odtąd musiał żyć tylko z tak zwanego traktamentu, czyli żołdu, a żołd ten nie tylko był szczupły, ale wypłacany bywał najnieregularniej.

Gdy Lwów zagrożony był przez konfederację barską, wysłano tam chorągiew Fogelwandra na załogę. Tym sposobem znalazł się na widowni naszego opowiadania.

Zamiłowany w zbytku, do którego się w młodości przyzwyczał, namiętny, dumny, pełen pańskich nawyków, Fogelwander znalazł się na swym nowym stanowisku niebawem w bardzo przykrym położeniu. Żołd był szczupły, wszystkie resztki dawnego majątku były strwonione — a młoda dusza pragnęła świetności, zabaw i rozkoszy, na które stan nie pozwalał.

Powiedzieliśmy już, że we Lwowie przebywało owego czasu więcej szlachty niż kiedykolwiek. Mimo tak oplakanych czasów, mimo

duszej, złowrogiej atmosfery, która gnieść się zdawała jak zmora całe społeczeństwo, urządzano częste zabawy, odbywały się świetne bale. Kartownictwo kwitło — grywano namiętnie, hazardowano całe majątki.

Fogelwander jako oficer dobrego domu, jako człowiek wykwintego, francuskiego wychowania znajdował wszędzie przystęp łatwy. Udział w zabawach kosztowniejszy był niż na to skromny traktament oficerski pozwalał. Fogelwander znalazł się wkrótce w najprzykrzejszym położeniu.

Próbując szczęścia, rozpaczliwie rzucił się w odmęt szulerki. Na szybkim kole fortuny myślał przelecieć po wierzchu życia. Z początku był szczęśliwy, wygrywał znaczne sumy i znajdował środki do wykwintego bytu. Krótki był wszakże ten uśmiech szulerskiego losu. Przed lekkomyślnym młodzieńcem otwierała się przepaść głęboka.

Znalazł się w jednym z tych fatalnych położań, z których nie ma znów wyjścia, chyba za pomocą jakiegoś szalonego, awanturniczego kroku... Do tych wszystkich goryczy przybywała i sama przykreść służby. Komendant Korytowski, uczeń pruskiej szkoły, były oficer gwardii królewskiej w służbie Fryderyka II, był surowym przełożonym i wymagał ścisłego wykonywania obowiązków żołnierskich. Fogelwander nauczył się był tymczasem nosić mundur tylko dla parady, położenie więc jego stawało się jeszcze nieznośniejszym.

Taki był oficer, któremu powierzył komendant Korytowski straż nad więzionymi we Lwowie hajdamakami. Oddanie tego wstrętnego nadzoru Fogelwandrowi było dowodem niełaski komendanta, rodzajem kary, która dumnemu oficerowi w wysokim stopniu była dotkliwą.

Mimo rozdrażnienia musiał Fogelwander przenieść to upokorzenie. Najrozmaitsze wprawdzie awanturnicze plany kłębiły mu się już w myśli, ale żadnego jeszcze stanowczego nie obrał. Do pewnego czasu musiał pozostać jeszcze w służbie. Szpada i złoty bandolet dawały mu przecież jakie takie stanowisko — zrzuciwszy mundur, zostałby prostym awanturnikiem, bez środków i bez widoków.

Było to w kilkanaście dni po przybyciu do Lwowa więźniów hajdamackich. Rotmistrz Fogelwander znajdował się w swoim pomieszkaniu i przemyślał właśnie nad środkami ratunku, który stawał się coraz pilniejszym. Porzucić służbę i rzucić się w świat na igrzysko losu; udać się do Turcji, przyjąć turban i stać się drugim

Bonnevalement, wrócić na powrót do Francji i ratować się dawnymi stosunkami, pojechać do Niemiec i szukać pomocy u szlachty tegoż samego co on nazwiska, o której słyszał, że istnieje ma jeszcze; sprzedać patent oficerski i rzucić go raz jeszcze na zielony stolik, próbując, czy szczęście nie osypie go znowu złotem — takie i tym podobne myśli przebiegały przez głowę młodego oficera.

Pogrążony tak w najrozmaitszych myślach, które chaotycznie kłębiły się w głowie i najdziwniejsze widoki otwierały lekkomyślnej imaginacji, Fogelwander nie uważał nawet, że od kilku minut nie był już sam w pokoju...

Przed drzwiami stała dziwna postać... Weszła ona cicho, niepostrzeżenie, zdawało się, że wśliznęła się przez szczelinę lub wyrosła z ziemi u jego...

Był to niski, lecz krępy człowiek około lat pięćdziesięciu. Błada twarz jego wydawała się na pierwszy rzut oka całkiem pospolitą i bez wyrazu. Okryta była rudym, siwiejącym już zarostem i w rysach swych nie miała nic takiego, co by uderzać mogło od razu powierzchniowego obserwatora.

Ale przy bliższym wpatrzeniu się w tę fizjonomię odkrywało się coś, co budziło wstręt i nieufność. Na ustach, które wyglądały, jakby mocno były zaciśnięte, drżał uśmiech dziwnie chytry, oczy małe i głęboko osadzone albo maskowały się powiekami, albo strzelały spojrzeniem, które migotało szybko i niepewnie jak błyskawica, a wiecznie ruchliwe, nie dało się uchwycić w żadnym kierunku.

Był to jeden z tych dziwnych, a rzadkich wzroków, które mimo woli przejmują nas obawą, niepokojem i nieufnością. Taki wzrok zdaje się nie patrzeć na nic, a widzi wszystko. Nie utkwii nigdy śmiało i spokojnie w oku drugiej osoby — pełza po niej jak szybka jaszczurka lub miga się zdradliwie i błyskawicznie jak ostry sztylet w rękę Włocha...

Człowiek ów, który tak niepostrzeżenie zjawił się w pokoju oficera, ubrany był w strój, którego narodowości trudno by było oznaczyć z pewnością. Na głowie miał zawój żółty jak Turek, na ciele chałat krótki, żydowski, ciemnego koloru, przepasany kozackim rzemieniem; na nogach oko spodziewało się znaleźć wschodnie meszty, a spotykało zamiast nich wysokie buty z jałowiczej skóry.

Nieznajomy stał kilka minut, nim go oficer spostrzegł. Gdy Fogelwander ujrzał nagle nieznajomego i dziwaczного gościa, cofnęła

się ze zdziwieniem i stanął na środku pokoju; Człowiek w złotym turbanie skłonił się niziutko i bardzo pokornie.

— Czego tu chcesz? — zapytał szorstko Fogelwander, zbliżając się do nieznanego.

Nieznajomy skłonił się raz jeszcze, spojrział przenikliwie na oficera i, uśmiechnąwszy się, rzekł łamaną polszczyzną:

— Ja bardzo przepraszam wielmożnego pana kapitana; ja chciałbym słówko pomówić w pewnym interesie...

— Któż ty jesteś?

— Kto ja jestem, to tak od razu trudno powiedzieć — odparł nieznajomy z uśmiechem. — Żyd jestem, handlarz jestem z Chocimia. Jestem Bunia Szachin, to jest: w Kamieńcu, w Brodach, we Lwowie nazywają mnie Bunia, w Chocimiu Szachin.

— Nie potrzebuję niczego... — odparł niechętnie Fogelwander, niekontent, że mu ten dziwny gość przerwał myśli, w których był pogrążony.

— Niech wielmożny pan rotmistrz tego nie mówi — począł szybko mówić Szachin, nie zmieszany szorstkim przyjęciem oficera — Szachina każdy potrzebuje, Szachin każdemu usłuży. Ja nie jestem zwykłym natrętem. Wszędzie i szlachta, i panowie oficerowie znają Szachina. Niech pan rotmistrz zapyta! Ja robię interesa i z panem generałem Wittem, i z baszą chocimskim, i sam gospodar wołoski zna mnie dobrze. Niech jaśnie pan graf raczy mnie tylko wysłuchać....

Fogelwander z roztargnieniem słuchał Szachina, który korzystając z bierności oficera, szybko i ostrym głosem mówił dalej:

— Mam konia na sprzedaż, że sam sultan jeździć na nim może... Koń z pustyni arabskiej, pod hetmana. Mam pistolety tureckie przedziwnej roboty całe w srebrze i w słoniowej kości. Mam dywdyki, dywany najpyszniejsze, haremowe, bławaty, adamaszki, szale i klejnoty, że się od nich nie oderwą oczy najpiękniejszej i najbogatszej pani...

— Nie kupię nic, daremnie czas tracisz, panie Szachin!

— Szachin nigdy czasu daremnie nie traci, a kto z nim łaskaw pomówić, także czasu nie będzie żałował pewnie. Ja nie tylko sprzedaję, ja chętnie kupię także...

— Nie mam nic do przedania...

Szachin chwilę milczał, popatrzył przenikliwie na oficera, a potem, podsuwając się naprzód, rzekł nieco cichszym głosem: